Miała dwa lata, gdy pierwszy raz zobaczyła Tatry. Dziewiętnaście, kiedy zauroczyły ją Himalaje, a na Alasce spotkała wielką miłość. Swoje miejsce na ziemi znalazła na Jurze. Bywają u niej znani: Martyna Wojciechowska, Ewa Wachowicz. – Marzę, by to miejsce wśród ostańców inspirowało wszystkich ludzi do nowych wyzwań i marzeń – mówi Alina.

TEKST: AGNIESZKA RAKOWSKA-BARCIUK
agnieszka.rakowska@guj.pl

Czasem trzeba coś stracić, żeby móc iść dalej

Nie warto niczego żałować. Szkoda czasu. Ruszyć z miejsca można tylko wtedy, gdy wspomnienia nie przytłaczają – uważa Alina Markiewicz, dziennikarka, podróżniczka, pasjonatka gór. Kiedyś miała wielką miłość i piękny dom. Uczucie zgasło, dom spłonął. – Czasem trzeba coś stracić, żeby móc iść dalej – twierdzi ze spokojem Alina. Na malowniczym wzgórzu, wśród jurajskich skał, zbudowała nowe gniazdo. Tu znów czuje się szczęśliwa i zaraża pasją życia innych.

Kadr z przeszłości. Tatry, zima 1979. Dwuletnia Alina, nazywana później Linką, stoi na Kasprowym. Stoi niepewnie, bo pierwszy raz ma na nogach narty. Krótkie, plastikowe. To jej debiut, spektakularny – uczy się jeździć na świętej górze narciarzy, prawie dwa tysiące metrów nad poziomem morza. Sprawcami zamieszania są jej rodzice – Anna i Andrzej, studenci, których połączyła fascynacja górami. Gdy na świecie pojawiła się ich córka, byli zgodni: mała może nie zobaczyć Disneylandu, ale Tatry – musi. – Dla mnie to było tak silne przeżycie, że pamiętam tę „wycieczkę". A zwłaszcza oklaski w nagrodę, że przejechałam kawałek na nartach – wspomina Alina Markiewicz, dziennikarka, podróżniczka.

– W te swoje podróże wyruszyłam dopiero, gdy skończyłam osiemnaście lat. Wcześniej byłam chowana pod kloszem. Nigdy nie jeździłam na kolonie i obozy. Za to co roku chodziłam z rodzicami w Tatry. Początkowo niechętnie. Był smutek, obrażanie się. Gdy ma się pięć czy dziesięć lat, zdobywanie szczytów to straszna męczarnia. Marudziłam, że wolę się pobawić, a nie wciąż się tylko wspinać. Na szczęście potem na szlaku poznaliśmy ojca z synem o dwa lata młodszym ode mnie. Stał się mym towarzyszem niedoli. Przeszliśmy razem całe Tatry śpiewając „Kaczkę dziwaczkę". W takt melodii łatwiej stawiało się kroki – opowiada Alina.

Zawsze lubiła chodzić własnymi ścieżkami. Zamiast umawiać się z chłopakami do kina, wolała wsiąść na rower albo studiować mapę najwyższych gór świata. Pewnego dnia zaczęła zasypywać rodziców pytaniami o himalaistów. Jak śpią? Co jedzą? Co czują, gdy wejdą na szczyt? Miała 12 lat, gdy pomyślała: muszę zrobić wywiad z Jerzym Kukuczką. Imponował jej – zdobył wszystkie ośmiotysięczniki. Był drugim człowiekiem w dziejach, który tego dokonał. Tak się złożyło, że mieszkał na tym samym osiedlu co Alina, raptem dwa bloki dalej, w katowickiej Ligocie. – Skłamałam, że piszę tekst do szkolnej gazetki. Nie było żadnej gazetki. Chciałam go poznać, odkryć ten jego fascynujący świat. Zgodził się, żebym przyszła do jego domu. To, że on opowiadał, a ja mogłam zadawać mu pytania, było dla mnie wydarzeniem. Tak wielkim, że nadal pamiętam datę „wywiadu": 18 stycznia 1988 roku. Miałam szczęście, że zdążyłam. Rok później mój mistrz zginął – mówi Alina.

Poczułam, że w górach jest coś obezwładniającego. Jak się jest tak blisko nieba, świat na dole wydaje się mniej groźny. Można zostawić za sobą cały ten zgiełk.

Alina Markiewicz, www.podlesice38.pl (na zdjęciu: 19-letnia Alina z Andrzejem Zawadą w Himalajach, 1996 rok)

Spotkanie z Jerzym Kukuczką zaważyło na jej życiu. – Wyszłam od niego z przekonaniem, że będę dziennikarką i pojadę w góry wysokie. Sześć lat później, w tajemnicy przed mamą, skończyłam kurs wspinaczkowy. No i się zaczęło – opowiada Alina.

– Himalaje? Widzę siebie, dziewczynę ze Śląska, która ogląda świat siedząc nad chmurami. Miałam 19 lat, gdy zabrał mnie w nie sam Andrzej Zawada, prekursor polskiego himalaizmu, mąż aktorki Anny Milewskiej. Właściwie to go zmusiłam. Dowiedziałam się, że organizuje narodową wyprawę na Nanga Parbat. Dotarłam do niego. Powiedziałam, że muszę dołączyć do grupy trekkingowej i nie odejdę póki nie usłyszę: „tak". Spojrzał na mnie z troską: „Dziecko, ty? A mama pozwoli?". Ale zgodził się.

Byłam najmłodsza w tej ekipie. Jak się okazało, to wcale nie wyszło mi na zdrowie. Im młodszy organizm, tym gorzej znosi wysokość. Pochorowałam się na tym trekku strasznie. Kilka dni leżałam w bazie z gorączką. Pierwszy raz w życiu Wigilię spędziłam poza domem, w obcym, niebezpiecznym Pakistanie – wyznaje.

CZY SIĘ ZRAZIŁA? SKĄD. W STYCZNIU WRÓCIŁA Z HIMALAJÓW, A W CZERWCU RUSZYŁA NA ALASKĘ, NA NAJWYŻSZY SZCZYT – MCKINLEY.

Tę wyprawę ciężko przeżyła. Kruchej nastolatce trudno było dorównać wytrawnym wspinaczom. A taryfy ulgowej nie miała. Jak wszyscy musiała ciągnąć sanki z prowiantem i sprzętem, omijając niebezpieczne szczeliny, a przecież nie miała doświadczenia w poruszaniu się po lodowcach. Ekstremalna przygoda dała jej do wiwatu. Stwierdziła: nigdy więcej! Przeszło jej po pół roku. Zwłaszcza, że gdyby nie Alaska, nie przeżyłaby miłości życia. W mroźnym miejscu wybuchło gorące uczucie. – Członkiem wyprawy był Krzysztof Wielicki. Ja zaczynałam chodzić po górach, on był po zdobyciu Korony Himalajów – opowiada Alina.

Krzysztof był starszy od Aliny o 27 lat. – Ludzie czasami żartowali: „Krzysiu, jaką masz dużą córkę". Coś w tym było. Mój tata zginął w wypadku, gdy miałam siedemnaście lat. Krzysiek w pewnym sensie zastąpił mi ojca. Czasem nie wiedziałam, czy chcę być jego partnerką czy także trochę jego dzieckiem. Ale przecież ważne jest tylko to, co ludzi łączy i czy gdy minie zauroczenie, będą mieli o czym ze sobą rozmawiać. A nas dużo łączyło. Pasja, przyjaciele, podróże po świecie. Potem wspólny dom.

1. W GÓRY Z MAMĄ Alina i jej mama razem jeżdżą na rowerach, na nartach, pływają, wspinają się w skałkach i chodzą po górach. Ostatnio zaliczyły Orlą Perć w Tatrach.

2., 3. TO TU Jak sama zbudujesz dom, nie masz wątpliwości, gdzie jest twoje miejsce – mówi Alina. Klimat jej domu tworzą akcenty alpinistyczne, np. liny do wspinaczki.

4. DOM NA WZGÓRZU Pensjonat działa od roku, już zyskał wielbicieli. Oto opinie zamieszczone w internecie: „Byłem tu kilka razy. Atmosfera pierwsza klasa, no i zawsze można porozmawiać o »Blancu«" . Albo: „Podlesice to mekka miłośników turystyki skałkowej, dom Aliny – mekka radości".

Z domem było tak. Znajomy kupił ruderę w Podlesiach na Jurze Krakowsko-Częstochowskiej. Zachorował, nie miał siły jej remontować. A my szukaliśmy czegoś dla siebie. Decyzja była szybka: Jura to miejsce kultowe dla wspinaczy, bierzemy!

Ciepły, miły, otwarty – wspominają ich dom przyjaciele. Przyjeżdżali tu ludzie z gór, dziennikarze, filmowcy. Ciągle coś się działo. – Każdy weekend u nas był wydarzeniem towarzyskim. Zjeżdżało co najmniej dwadzieścia osób – wspomina Alina.

Alina i Krzysztof spędzili razem jedenaście lat. Czemu nie więcej? – To zbyt osobiste – mówi Alina. Dziś to wspomnienie już ją nie boli. – Minęło pięć lat, mam dystans. Ale wtedy gdy Krzysztof odszedł, to jakbym po raz drugi straciła ojca. Trzy lata z trudem radziłam sobie z emocjami – przyznaje. Po rozstaniu została sama w domu na wsi. Myślała, że zwariuje od czarnych myśli. Rzuciła się w nowy związek, łudząc się, że jest na niego gotowa. Zaplątała się, pogubiła...

Ratunek przyszedł znienacka. To znaczy: dziś wie, że to był ratunek. Tuż przed Wielkanocą w jej domu wybuchł pożar. – Jechałam autem z pracy, miałam sześćdziesiąt kilometrów do celu. Był marzec, smutno, wracałam do zimnego domu. Zadzwoniłam do sąsiada, czy mógłby mi rozpalić ogień w kominku. Rozpalił i wyszedł. Okazało się, że przewód kominowy był nieszczelny. Płomienie strawiły drewniane ściany...

Rozpacz, szok, niedowierzanie. Ale dziś Alina jest pewna: pożar to najlepsza rzecz, jaka wtedy mogła się jej przydarzyć. Gdyby nie on, nie pozbyłaby się toksycznych myśli.

POCZUŁA SYMBOLICZNE OCZYSZCZENIE. STARE ŻYCIE POSZŁO Z DYMEM? CZAS NA NOWE.

Mama Aliny tak wspomina ten moment: – Córka stała na zgliszczach i z uporem powtarzała: „To jest moje miejsce, ja tu wrócę". Nikt nie wierzył w jej wizję, a jednak dopięła swego – mówi Anna Markiewicz.

Alina postanowiła, że na zgliszczach zbuduje nowy dom. Dla siebie i dla ludzi z pasją. Maleńki pensjonat z klimatem. Nie jakiś tam pospolity „wynajem pokojów", lecz miejsce, w którym spokój i natura będą inspirować ludzi do nowych wyzwań. Wszyscy jej to odradzali. Słyszała: „Nie dasz rady", „Nie bierz kredytu, to ryzyko". Przytakiwała, i robiła swoje. – Jeśli mam do czegoś przekonanie, zmierzam do celu. W tym przypadku właściwie jechałam po bandzie. Zaciągnęłam tak wysokie kredyty, że wciąż nie mogę oddychać, gdy o nich myślę – mówi.

Rozpoczęła się akcja: budujemy nowy dom. Najpierw z pomocą przyjaciół Alina wyniosła tony zwęglonych sprzętów, drewna i gruzu. Potem przez dwa lata razem z fachowcami nosiła deski, przybijała gwoździe, malowała ściany. Żyła tylko budową. Na pytanie: „Co słychać?" odpowiadała: „Słuchaj, zabrakło mi peszla o średnicy pięć milimetrów, wiesz gdzie można go zdobyć?".

Inny obrazek jak z kosmosu? Ja, w stroju dla siebie niecodziennym – szpilki, długa suknia, prowadzę w Katowicach imprezę z okazji otwarcia nowej telewizji. A w tym czasie w Podlesiach moi przyjaciele walczą ze zgliszczami. I dzwonią do mnie: „Spokojnie sobie pracuj, nad wszystkim czuwamy".

Wszystko działo się metodą gospodarczą: jeden znajomy polecił sprawdzoną ekipę, inny pomógł zamontować okna, a kolejny doradził jak wybrać deski na werandę. To był z ich strony gest serca. Na co dzień zajmowali wysokie stanowiska, byli zapracowani po uszy, nie mieli czasu dla siebie, a dla mnie znaleźli. Bez nich nic by się nie udało. Zwłaszcza, że po kolejnym rozstaniu zostałam sama z rozpoczętą budową – wspomina. – Kajetan, drugi ważny mężczyzna w moim życiu, bardzo zaangażował się w nasz związek. A i ja wierzyłam, że to miłość na zawsze. Jednak przerosło go moje tempo życia, moje plany. Nie wytrzymał. Odszedł, choć kochał. To był dla mnie najgorszy moment. Dół. Jednak to rozstanie mnie wzmocniło. Już wiem, że czasem trzeba się rozstać, żeby móc iść dalej – uważa Alina.

Odbudowa trwała trzy lata. Pod koniec Alina miała moment zwątpienia, że nie da rady. Wtedy do akcji wkroczyli przyjaciele. Prosili, żeby nie traciła „spręża". W górach każdy zna to określenie. Mówi się: albo ktoś ma „spręża" albo nie. Czyli: wierzy w sukces i walczy czy poddaje się przy pierwszych trudnościach. – Przyjaciele wierzyli, że jestem na ostatniej prostej, a ja nie. Dostałam „spręża", gdy w grudniu zapowiedzieli, że święta wielkanocne zamierzają spędzić u mnie. Zarezerwowali pokoje, których nie było, w domu bez podłóg i stropu. Miałam cztery miesiące, by dokończyć budowę. Zdążyłam! Gdy w Wielką Sobotę goście zajechali pod dom, w środku trwała „wykończeniówka": ośmiu robotników wciąż miało co robić. Zresztą, moja rodzina też. Mama wycierała kurze, babcia wyjmowała z piekarnika ciasto drożdżowe, a ja dokręcała półki w łazience – opowiada. – Te pierwsze święta w nowym domu były niezwykłe. Przyjechała Anna Milewska, żona Andrzeja Zawady. Nie zabrakło Doroty, z którą odkrywałam Himalaje. Byli wszyscy, których kocham.

HISTORIA ZATOCZYŁA KOŁO. DOM SPŁONĄŁ PRZED WIELKANOCĄ I WRAZ Z NIĄ OŻYŁ.

Już z daleka widać chorągiewki, umieszczone pod dachem domu, ba całej długości werandy. Alina przywiozła je z Nepalu. Ich ko-

Magię gór odkrywałam w towarzystwie wielkich

Miałam szczęście spotkać wybitnych himalaistów – cieszy się Alina. Z Krzysztofem Wielickim (zdjęcie pierwsze) połączyła ją miłość, teraz pozostają w przyjaźni. Andrzej Zawada (zdjęcie u dołu) sprawił, że pierwszy raz w życiu mogła zobaczyć Himalaje. Wracała tam wiele razy. Razem z kolegą z wypraw operatorem Darkiem Załuskim nakręciła film „Z hałdy w Himalaje" – opowieść o wyprawie dzieci z najbiedniejszych śląskich rodzin w najwyższe góry świata. Teraz pracuje nad filmem o Jerzym Kukuczce i jego młodszym synu Wojtku, fotografie, który w maju, w 20. rocznicę śmierci ojca, zdobył Mont Everest.

REKLAMA

1/3
PION
"i"
67 x 280

1. CZAR SKAŁ Zamki, ostańce, ścieżki rowerowe. Mieszkam w raju – uważa Alina. Na zdjęciu ruiny zamku w Mirowie.

2. KOBIECY TEAM Najbliższą rodzinę Aliny tworzą same kobiety: babcia i mama. Obie mieszkają w Katowicach. – Babci zorganizowałam ostatnio lot balonem nad Jurą. A mamę zabrałam na jej pięćdziesiąte urodziny w Himalaje – mówi jej córka.

3. BERNI Pies Berni to wierny przyjaciel wszystkich gości pensjonatu. – Ostatnio mam taki telefon: „Chcielibyśmy przyjechać na weekend. Ale syn pyta, czy na pewno będzie Berni? Znów chciałby się z nim pobawić" – opowiada Alina.

lory symbolizują żywioły: żółty – ziemię, zielony – wodę, czerwony – ogień, niebieski przestrzeń. – Zgodnie z wierzeniami Tybetańczyków, błogosławieństwa na nich zapisane chronią całą okolicę – tłumaczy. Dobre duchy czuwają też nad jej siedliskiem. – Zimą myślałam, że mnie opuściły. Mrozy tak dały mi popalić, że depresja gigant już pukała do drzwi – przyznaje Alina.

Na szczęście na co dzień do jej drzwi pukają mili goście. Odwiedzają kameralny pensjonat, a potem zostawiają wpisy w księdze pamiątkowej (przywiezionej przez właścicielkę z ukochanego Nepalu, a jakże). Oto jeden z nich: „To jest moje miejsce na Ziemi". Podpis: Martyna Wojciechowska.

– Poznałyśmy się lata temu i od razu złapałyśmy wspólny język. Obie mamy zapotrzebowanie na adrenalinę, co nie znaczy: „skakać na cienkiej linie", raczej – „żyć aktywnie, stawiać sobie cele". Gdy Martyna pierwszy raz mnie odwiedziła, wybuchła śmiechem. Za oknem w salonie stało osiem kotów, wszystkie na dwóch łapach i z nosami przyklejonymi do szyby. To były zwierzaki, które dokarmiałam. Dawały mi sygnał: „Wpuść nas do domu" – opowiada Alina.

Alina karmi koty, a ją znana z kulinarnych talentów Ewa Wachowicz. – W sytuacjach awaryjnych zawsze mogę na nią liczyć. Kiedyś pierwszy raz w życiu zabrałam się za przygotowanie gulaszu, od razu z rozmachem, w garze na sto osób. Zadanie mnie przerosło. Lepiej się wspinam niż gotuję. Sięgnęłam po koło ratunkowe: zadzwoniłam do babci, żeby mi powiedziała co i jak. Na szczęście do kuchni weszła Ewa i przejęła pałeczkę. Za godzinę karmiłam gości pysznościami – opowiada Alina.

– Nie ma co kryć: bez przyjaciół nie udałoby mi się żyć tak fajnie. Wszystko jest możliwe, gdy wspierają mnie bliscy. Gdy wyjeżdżam kręcić filmy dokumentalne, reportaże (założyłam firmę producencką), oni opiekują się moim domem i Bernim.

Teraz właśnie Alina czuwa nad projektem „Kierunek: szczęście", pod patronatem Fundacji Iskierka. – Przygotowuję razem z Darkiem Załuskim dokument o Magdzie, studentce, która z powodu raka kości musiała mieć amputowaną nogę. Dzięki wsparciu fundacji otrzymała nowoczesną protezę. Teraz uczy się chodzić na nowo. Film ma być częścią kampanii społecznej. Chodzi o zmianę kierunku myślenia: państwo powinno refundować nowoczesne protezy, by ludzie mogli być samodzielni. To się wszystkim opłaca – tłumaczy Alina.

Co jeszcze się w życiu opłaca? Oczywiście, przyjaźń. – Ci, których kocham, znają zasady, które panują w moim domu. Mówię: „Kawę już wypiliście, a teraz trzeba przewieźć drewno. Aha, i trawę wypadałoby skosić". Zresztą, sami już od progu pytają: „To co jest dzisiaj do zrobienia?"

Wino od Marka Kondrata dopełnia atmosferę

Dbam o to, by miejsce, które stworzyłam, było wyrazem mojej filozofii. Marzę, by ludzie poczuli tu pasję: do życia, podróży, sportowej aktywności. Dlatego każdy detal, nawet wino, musi mieć duszę. To, którym częstuję moich gości, pochodzi z „Winarium" Marka Kondrata – mówi Alina Markiewicz. Aktor odwiedził jej pensjonat, a gdy zyskał pewność, że roztacza się w nim dobra aura, na butelkach wina umieścił specjalną etykietę: „Podlesice 38. Miejsce dla ludzi z pasją".